Ogród z brązu

Najlepszy argentyński thriller ostatnich lat

GUSTAVO MALAJOVICH

O książce

OBRAZ AMERYKI POŁUDNIOWEJ, JAKIEGO NIE ZNAMY:
MROCZNY, BOLEŚNIE PRAWDZIWY

Życie człowieka może się zmienić w ciągu sekundy...

Czy najgorsza wiedza jest lepsza od niewiedzy?

Fabian Danubio, architekt z Buenos Aires, nie zadaje sobie tego pytania. Fabian po prostu musi wiedzieć, co się stało z jego czteroletnią córką, która w towarzystwie niani wsiadła do metra i obie zniknęły.

Początkowy szok ustępuje miejsca nadziei, że dziewczynka żyje, że nie dzieje się jej krzywda, a powołane do tego organy ją odnajdą. Tylko że policja – uwikłana w wewnętrzne rozgrywki, skorumpowana i niekompetentna – jest bezradna. Zdesperowany ojciec rozpoczyna śledztwo na własną rękę, a znalezienie córki staje się na lata treścią jego życia.

GUSTAVO MALAJOVICH

OGRÓD Z BRĄZU

Z hiszpańskiego przełożyli
GRZEGORZ OSTROWSKI
JOANNA OSTROWSKA

Wydanie elektroniczne

GUSTAVO MALAJOVICH

Argentyński pisarz i scenarzysta. Z zawodu architekt, pracował jako wykładowca na uniwersytecie w Buenos Aires. W 2002 roku nastąpił zwrot w jego karierze zawodowej: zrezygnował z architektury i został współscenarzystą *Los Simuladores*, jednego z najpopularniejszych argentyńskich seriali telewizyjnych. **Ogród z brązu** to pierwsza powieść Malajovicha.

Tytuł oryginału:
EL JARDÍN DE BRONCE

Copyright © Gustavo Malajovich 2011
© Random House Mondadori S.A. 2011
All rights reserved

Obra editada en el marco del Programa "Sur" de Apoyo a las Traducciones
del Ministerio de Relaciones Exteriores y Culto de la República Argentina

Książka opublikowana w ramach Programu Wspierania Tłumaczeń „Sur"realizowanego
przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Wyznań Republiki Argentyny

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Grzegorz Ostrowski & Joanna Ostrowska 2015

Redakcja: Beata Kaczmarczyk

Zdjęcie na okładce: © Roy Bishop/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-089-1

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego.
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę,
która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje,
że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom
lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie,
kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych
lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Konwersja do formatu ...
...
...

Mojej żonie, Pauli,
za wszystkie wspólne podróże.

Moim dzieciom, Marii i Theo.
Będą mogły przeczytać tę książkę, kiedy dorosną
(ale niech się za bardzo nie spieszą z tym dorastaniem).

Zło jest jak moneta, ma dwie strony.
Jedna każe mi cierpieć, druga — grzeszyć.
Kręcę monetą i widzę, że obie nakładają się na siebie.
Cierpię i grzeszę.
Nie mogąc sprawić, by przestała się kręcić moneta zła.

Ernesto Danubio, *Jano*, tekst niepublikowany

Wprowadzenie

16 grudnia 1987

Dziś nad urwiskiem wydarzyło się coś strasznego.

Musiałem zabić tatę.

Nie wiem, skąd biorę siły, żeby o tym pisać. Czuję się, jakbym był zanurzony w olbrzymim akwarium z ciemną wodą okalającą moje zmysły.

Teraz siedzę u siebie w pokoju i słyszę zdenerwowane głosy domowników, którzy już się o niego dopytują. To normalne. Zazwyczaj tata wraca do domu przed dwudziestą, żeby przewodniczyć celebrowaniu kolacji. Jest dwudziesta pierwsza trzydzieści, a on jeszcze nie przyszedł. Wydaje mi się, że rozróżniam zdradzające nerwowość dźwięki wydawane przez Rebę, kiedy mówi — to połączenie szeptu i astmatycznego oddechu. „Coś go zatrzymało na przystani? Zagadał się z robotnikami? Może zadzwonić do baru Fariasa?"

Nie wróci, Rebo. Daj sobie spokój.

Tata leży teraz na plecach z otwartymi oczami. Widziałem go z daleka. Nic nie wskazuje na to, że jest martwy, oprócz nogi ułożonej pod dziwnym kątem. Na twarzy maluje mu się samcza wyniosłość, którą pamiętam od zawsze, teraz z niezaplanowanym odcieniem zdumienia.

Powinienem uporządkować wspomnienia o tym, co się stało, by wiernie zapisać całą historię w moim dzienniku.

Od rana, jak co dzień, robiłem, co do mnie należało. Rzeka zaczęła opadać, woda nie zalewała już wysepek, a powietrze znów było suche, tak jak lubię. Zawsze staram się szybko skończyć obchód, żeby mieć więcej czasu na pracę w warsztacie. Przyspieszyłem powrót: wiosłowałem miarowo, próbując odpędzić komary lepiące mi się do spoconej twarzy. Przywiązałem łódź, ruszyłem dróżką między skałkami i niezauważony przez nikogo wszedłem do warsztatu.

Już po chwili spokojnie przytrzymywałem formę z ciekłym odlewem, żeby nic się nie ulało, czując, jak z metalu, który nabiera kształtu, bije mi w oczy gorąco. Wtedy przez okno wychodzące na zachód zobaczyłem tatę. Stał między dwoma wysokimi drzewami kauczukowymi, odwrócony plecami, jak prawie zawsze, kiedy padał na niego mój wzrok. Nigdy nie było wiadomo, o czym myśli, jednak cała jego postawa sugerowała, że odczuwa pogardę nawet dla otaczającego go powietrza. Widziałem jego kark, miejsce, gdzie zaczynały się ostrzyżone na jeża włosy, pokrywające masywną głowę, siwą, z parą delikatnych uszu, które z trudem podtrzymywały okulary. Ich szylkretowa oprawka miała barwę, jaką przybierają muszle, gdy zbyt długo leżą na dnie morza. Nie zdziwiło mnie, że w uniesionej prawej dłoni trzyma starą klamerkę do wieszania bielizny. Otwierał ją, naciskając jej końce kciukiem i palcem wskazującym, a potem wykonał to samo ćwiczenie pozostałymi palcami: kciukiem i środkowym, kciukiem i serdecznym, aż do małego. Już od samego patrzenia na wysiłek, jaki wkładał w tę czynność, czułem ból w palcach. Tata zawsze pamiętał o tych ćwiczeniach, choć od śmierci mamy prawie nie grał na skrzypcach.

Odstawiłem do zlewu szczypce i formę z odlanym przedmiotem, po czym podszedłem do okna. W tym momencie tata odwrócił się i spojrzał w moją stronę. Tak jak myślałem, widział mnie już wcześniej, ale stał tyłem do warsztatu i czekał, aż ja go zauważę. Każdego tak traktował, Rebę, robotników, nawet Cordelię. Czekał zawsze, aż się go odkryje, jakby był cząstką przyrody od zawsze stanowiącą element pejzażu, drzewem, górą, rzeką.

Pokazał mi ruchem dłoni, żebym wyszedł. Zdjąłem płócienne rękawice i pospieszyłem mu na spotkanie.

Tata nigdy nie patrzył mi w oczy, gdy ze mną rozmawiał. Niewiarygodne, jak wielki jest repertuar gestów stosowanych przez członków rodziny, żeby dręczyć się nawzajem bez używania słów. Kiedy mu odpowiadałem, też na mnie nie patrzył, a ja zachodziłem w głowę, czy mnie słucha, czy może powinienem wszystko powtórzyć. To było bardzo irytujące.

Zdaję sobie sprawę, że używam w tym opisie czasu przeszłego. Będę musiał powoli do tego przywyknąć.

Wymieniliśmy kilka zdawkowych słów. Schował klamerkę do kieszeni kurtki i odszedł, co oznaczało, że trzeba było pójść za nim. Okrążyliśmy warsztat i oranżerię. Jej szyby zabarwiły się na pomarańczowo od popołudniowego światła, które oboje z Cordelią tak bardzo lubimy.

O tej porze ptaki hałasowały głośniej niż zwykle, podejmując ostatnią próbę powstrzymania nadchodzącej nocy.

Minęliśmy zbiornik na wodę i poszliśmy nad rzekę. Zapytał, jak upłynął mi dzień, jak tam moja praca, z tą samą co zawsze metodyczną obojętnością, choć wydało mi się, że słyszę nowe nutki w sposobie przeciągania niektórych słów.

To kazało mi mieć się na baczności.

Tata zawsze krążył wokół tematu, zanim przeszedł do sedna sprawy, ale kiedy już wyjawiał swój cel, rzucał się na rozmówcę i nic nie było w stanie go powstrzymać. Zachowywał się niczym toreador w godzinie prawdy.

Nie jestem pewien, czy pamiętam wszystko, co mi powiedział, o czym mówił, zanim sytuacja się skomplikowała. Prawdopodobnie było to kolejne kazanie o konieczności uporządkowania mojego życia, o tym, że mam już dwadzieścia jeden lat, że odroczenie służby wojskowej dobiega końca i okazało się niepotrzebne, bo nie wykorzystałem go na podjęcie studiów, a potem długie „i tak dalej". Szybko odbiegłem myślami bardzo daleko i błądziłem nimi zupełnie gdzie indziej. Słuchając monotonnej przemowy taty, przypomniałem sobie Cordelię i jej ramiona, ślad po szczepieniu przeciw gruźlicy, który wyglądał, jakby ktoś uderzył lekko dłutem w skórę o barwie bursztynu.

W którymś momencie zdałem sobie sprawę, że tata również wymawia imię Cordelii.

Podniosłem wzrok i napotkałem jego oczy, patrzące wprost w moje. Nie pamiętam, żeby coś takiego kiedykolwiek się zdarzyło. Trudno było wytrzymać to spojrzenie, więc zawstydzony spuściłem głowę. Twarz palił mi żar, większy, bardziej piekący niż ten z paleniska w warsztacie. Tata mówił, a jego usta układały się w grymas pogardy. Poczułem, że moje ciało zaczyna stawać się jak ze szkła, niczym wielkie szyby w witrynach lokali na głównej ulicy, które na pewno tłuką się przy mocniejszym nacisku, a wtedy ostre, spadające kaskadą odłamki najpierw kaleczą ci palec, potem zaś resztę ciała, tnąc je na tysiąc różnych sposobów aż do ostatecznego unicestwienia.

Tata mówił „dość tego" i ciągle na mnie patrzył. „Dość", powtarzał, i przez moment widziałem na jego

twarzy, ukryty pod oburzeniem i złością, ślad zmęczenia, który mnie zaskoczył. Dostrzegłem starość taty i uświadomiłem sobie wyraźnie, że może nie mieć już ochoty zadawać sobie trudu, by żyć, mieć rodzinę, dom na wsi. Może wolałby popłynąć do wioski, wejść do baru Fariasa, zamówić wódkę z trzciny cukrowej i usiąść przy laminowanym stoliku obok maszyny do krojenia wędlin, zaczekać, aż odezwie się jakiś stały bywalec, i nawiązać rozmowę przeplataną sprośnymi dowcipami i komentarzami na temat piłki nożnej.

Tego właśnie chciał tata: nie przedłużać impasu, w jakim utknęły jego relacje z synem.

Miałem w tym momencie ochotę go objąć, wiedziałem jednak, że mnie odepchnie, a to będzie zbyt bolesne. Poza tym było już za późno. Tata perorował, planując moją przyszłość, całkowicie pochłonięty tematem. Mówił o wyborze kierunku studiów i o podróży do Europy. W Mediolanie jest znakomita akademia sztuk pięknych, o której zawsze opowiadała mu mama. Miałem unikalną szansę, żeby studiować i zdobyć wykształcenie w „centrum wszystkiego", jak lubił powtarzać mamie.

Zauważyłem, że teren zaczął się wznosić, a to znaczyło, że jesteśmy niedaleko urwiska. Tata zatrzymał się kilka metrów od krawędzi i patrzył w dal. Z tego miejsca nie było widać rzeki, a jedynie zlewające się w oddali wysepki. „Słońce już zaszło", powiedział. I po chwili dodał: „Jutro koniecznie zacznij szykować się do wyjazdu".

Oczy zaczęły mi zasnuwać zielone konstelacje, jak zawsze, kiedy mocno je tarłem.

Poczułem, że usta układają mi się w słowo „nie".

Tata popatrzył na mnie. Tym razem jego pogarda była jeszcze bardziej widoczna.

„Jutro stąd wyjedziesz. Albo zrobisz to po dobroci, albo wykopię cię na stację".

Ponownie się odwrócił i spojrzał tam, skąd wiał wiatr.

Nie pamiętam, o czym wtedy pomyślałem. Znowu patrzyłem na jego kark. Przyszło mi nagle do głowy, że ten kark to w rzeczywistości twarz taty. Niczym drewniana rzeźba starożytnego bożka, któremu czas zatarł rysy twarzy.

Nie wytrzymałem i zrobiłem krok w jego stronę. Położyłem mu dłonie na plecach i szedłem dalej. Może zaskoczenie odebrało mu mowę. Przez chwilę miałem wrażenie, że chce się zaprzeć piętami w ziemię, ale te tylko się ślizgały. Potem nie miał pod sobą już niczego, co mogłoby go utrzymać. Gdy spadał, rzuciłem się do tyłu.

Nie usłyszałem żadnego krzyku, jedynie dźwięk wciąganego powietrza, westchnienie, jakby ktoś wstrzymywał oddech przed skokiem do basenu albo do rzeki. Odczekałem kilka sekund. Nie usłyszałem również odgłosu uderzenia. Jakby się rozpłynął.

Minęło trochę czasu, nim zdecydowałem się wyjrzeć znad krawędzi. Ujrzałem tatę leżącego na dole.

Miałem nadzieję, że go nie zobaczę, bo niczego nie było słychać. Pomyślałem, że może unosi się w powietrzu, patrząc na mnie z tym swoim odwiecznym grymasem pogardy.

Ale ciało taty leżało na dole. Nieruchome.

Nie mógł być żywy. Nawet on nie byłby w stanie przeżyć takiego upadku.

Spoglądałem na niego jeszcze przez chwilę, potem odwróciłem się i poszedłem w stronę warsztatu. W tym momencie na coś nadepnąłem. Spuściłem wzrok i zobaczyłem drewnianą klamerkę. Musiała mu wypaść, kiedy go popychałem. Schowałem ją do kieszeni.

Ruszyłem dalej, niespiesznie, ale też przesadnie się nie wlokąc.

Urwisko widać z przeciwległego brzegu, jednak tamten

teren jest również naszą własnością, dlatego nikt nie mógł zobaczyć tego, co się wydarzyło, chyba że plątał się tam jakiś spóźniony robotnik. Wydawało mi się, że dostrzegłem tylko krowę, która przeżuwała trawę i mogła być niemym świadkiem tej sceny.

Sam jestem zdumiony obojętnością, jaką czułem, kiedy szedłem w stronę oranżerii, i potem, kiedy ją okrążyłem, przekroczyłem próg warsztatu i zamknąwszy drzwi, oparłem się z ulgą o stare drewno. Siedziałem w warsztacie jeszcze godzinę, by wyjść o zwykłej porze, w przeciwnym razie ktoś mógłby zauważyć, że zachowuję się inaczej niż zwykle. Potem wyjąłem gazetę ze skrzynki i poszedłem do mojego pokoju.

Siedzę w nim teraz i czekam.

Dno przepaści znajduje się w odległości dziesięciu metrów od brzegu rzeki, nie dociera tam nocny przypływ. Nie minie nawet dzień, gdy go znajdą, bo jeśli nie zobaczą ciała z góry, na pewno dostrzeże je ktoś z przepływającej łodzi.

Myślę jednak, że już w ciągu kilku godzin odkryją, iż doszło do wypadku, bo jeśli tata się nie pojawi, Reba wyśle robotników, Cordelię i mnie, byśmy go szukali. Kiedy zadzwoni do baru Fariasa i kiedy okaże się, że nikt nie widział taty również na przystani, Reba będzie niespokojna. Każe nam kontynuować poszukiwania i może to właśnie ja będę musiał odegrać przedstawienie i udać, że go znajduję, choć wolałbym, żeby trafiło na któregoś z robotników.

Reba teraz pyta o niego. Wydaje mi się, że słyszę łagodny, głęboki głos Cordelii, która jej odpowiada. Jest tam pewnie Amadeo i może również Lautaro. Będę musiał wyjść, żeby się niczego nie domyślili.

Zadaję sobie pytanie, czy odgadną, co się stało, czy moja twarz mnie zdradzi. Powinienem mieć tu jakieś

lustro. Zobaczę, czy da się je zrobić w warsztacie. Najlepiej dwa, drugie podaruję Cordelii.

Czeka mnie kilka ciężkich dni. Trzeba będzie zająć się hacjendą. Może to i dobrze.

Muszę pamiętać o ukryciu zeszytu razem z pozostałymi. Lepiej, żeby nikt go teraz nie znalazł.

Nie wiem, co powiedzieć. Pewnie wydałoby się to tacie niewdzięcznością, ale czuję ulgę.

Gdzie on teraz może być? Myślę, że nie zasłużył, by przebywać z Bogiem, choć Jego łaska jest nieskończona.

Spoglądam na starą drewnianą klamerkę, której używał do ćwiczeń. Zaczynam ją naciskać palcem wskazującym i kciukiem prawej ręki. Potem środkowym i kciukiem, serdecznym i kciukiem. W miarę jak przechodzę do coraz bardziej delikatnych palców, kosztuje mnie to coraz więcej wysiłku.

Ten wysiłek staje się niemal męczarnią.

FAZA PIERWSZA

Najbardziej okrutny miesiąc

1

Buenos Aires, 4 kwietnia 1999

Na kilka dni przed porwaniem jego córki, Fabiana Danubia prześladował pewien sen, miał jednak nadzieję, że szybko się go pozbędzie.

Nigdy nie pamiętał swoich snów, nie wiedział, czy ludzie są co noc nawiedzani przez sny, które potem zapominają. Nigdy nie czytał żadnego pisma naukowego, które prezentowałoby jakieś niezbite dowody w tej kwestii. Rozmyślając o tym wszystkim z ową skrzywioną jasnością umysłu, która istnieje tylko w snach, przebijał się przez lepką atmosferę spowalniającą ruchy.

Szedł ulicą jakiejś bliżej nieokreślonej dzielnicy nocną porą. Czuł, że Lila i Moira są blisko, choć ich nie widział. W jego śnie ziemia nie wsysała mu nagle stóp ani nie spadał nieskończenie długo. Ulica była pusta, a sklepy wyglądały na nieczynne, ale kiedy rozejrzał się ponownie, stwierdził, że je porzucono: miały otwarte drzwi, a w środku panował bałagan. Widział od dawna nieużywane kasy fiskalne, roztrzaskane lady, puste półki, uporczywie migoczące świetlówki.

Jak we wszystkich snach ciało Fabiana wiedziało, dokąd idzie, lecz jego umysł nie był tego świadom. Miał niejasne wrażenie, że ucieka, choć nie potrafił odgadnąć, przed kim

ani dokąd. W pewnej chwili wydało mu się, że słyszy w pobliżu głosy Lili i Moiry. Zatrzymał się na środku ulicy przed czymś, co wyglądało na wnękę po bankomacie, a co potem okazało się windą o szklanych ścianach. W środku były one. Chyba pokazywały mu na migi, żeby się pospieszył. Próbował podbiec, kiedy jednak stanął przed kabiną, drzwi się zamknęły. Moira patrzyła na niego z drugiej strony szyby, Lila też, ale potem odwróciła się do niego plecami. Światło w kabinie zgasło. Oparł dłonie o szybę i przysunął twarz, starając się je zobaczyć. Wewnątrz panowała całkowita ciemność. W tej ciemności widział coraz wyraźniejszy zarys innej postaci, a gdy przysunął się bliżej, natrafił na parę niebieskich oczu bez twarzy, ludzkich albo zwierzęcych, które uważnie się w niego wpatrywały.

Fabián z jękiem opuścił sen i znalazł się na podłodze, obok łóżka. Pierwszy raz przydarzyło mu się coś takiego: spadł z łóżka z powodu snu.

Spojrzał na Lilę, żeby sprawdzić, czy hałas jej nie obudził, ona jednak spała. Podniósł się ostrożnie, wyszedł z pokoju i zajrzał do Moiry. Jego córka też spała, obejmując pluszową zabawkę, która była imitacją Disnejowskiego Świerszcza Hipolita. Pluszak miał taki sam kapelusik, ale więcej odnóży i dłuższy korpus. Wyglądał bardziej dziko, jakby Świerszcz Hipolit stał się mniej ludzki i bardziej owadzi. To była ulubiona maskotka Moiry.

Podszedł, żeby sprawdzić, czy córka się nie zmoczyła. Jakimś cudem nie. To tłumaczyło, dlaczego nie przeniosła się do ich łóżka.

Co noc, między drugą a trzecią nad ranem, Moira sikała pod siebie — niezawodna strategia, żeby opuścić swoje łóżko i położyć się między rodzicami.

Psychiatra Lili polecił im psycholog dziecięcą, do której udali się po poradę. Kobieta zapewniła ich, że to tylko pewien etap i powinien szybko minąć. Jasne, ona nie musiała

codziennie prać prześcieradeł.

Fabián poszedł do kuchni. Panowała absolutna cisza, nawet na ulicy, co przyciągało uwagę. Uświadomił sobie, że jest niedziela. Wrócił do sypialni i znowu się położył. Delikatnie dotknął ramienia Lili. Poruszyła się, odpędzając nieistniejący cień. Po chwili znowu spał, tym razem nic mu się nie śniło.

2

— Chcę iść do drzewa — powiedziała Moira.

Miała cztery latka i oczy identyczne jak oczy matki: duże, migdałowe, w kolorze ciemnego brązu, lekko opuszczone zewnętrzne kąciki, co sprawiało, że z jej spojrzenia biła jakaś nieokreślona melancholia. Od czasu do czasu, kiedy unosiła brwi, jej twarz przybierała wyraz zdumienia. Właśnie tę minę Fabián lubił najbardziej.

Był początek kwietnia. Upał ustępował miejsca chłodnym, słonecznym dniom. Szli w kierunku placu zabaw, oddalając się od ulicy Alvareza Thomasa. Lila przeglądała gazetę, którą właśnie kupiła, i nie patrzyła, gdzie stawia stopy, więc ciągle potykała się o krawędź piaszczystej ścieżki.

Oboje podążali za Moirą, która szybko biegła w stronę miejsca, gdzie rosło „jej drzewo". Młody puchowiec miał zmiażdżone kolce, żeby spuszczone z oczu dzieci i roztargnieni dorośli nie zrobili sobie krzywdy. Moira podeszła do niego, kiedy pierwszy raz przyszli do parku, miesiąc po przeprowadzce na ulicę Alvareza Thomasa. Oczarowała ją zieleń pnia, który wyglądał niemal jak sztuczny. Mogła obyć się bez zabaw, bez rowerka z dodatkowymi kółkami i bez parku, ale nigdy nie rezygnowała z odwiedzenia swojego drzewa.

W styczniu, w dzień urodzin Moiry, Fabián fotografował ją pod puchowcem. Zrobił to już cztery razy i wierzył, że będą powtarzać ten rytuał co roku, że Moira będzie przestrzegać go jako dorosła osoba, i że ta tradycja przejdzie nawet na jej dzieci i wnuki.

Lila i Fabián usiedli na jednej z kamiennych ławek pod betonową pergolą, skąd mogli widzieć córkę. Fabián nigdy nie zaprojektowałby parku w taki sposób, lecz miejsce było zadbane i w pewnym sensie przyjemne, co też zasługiwało na uznanie. Poza tym nie przychodziło tu za dużo ludzi.

Lila rozłożyła gazetę na wymalowanej na stole szachownicy i wyjęła dodatek kulturalny. Fabián wstawał od czasu do czasu ze swojego kamiennego siedziska, gdy tracił z oczu Moirę, zasłoniętą przez którąś z wielkich donic z kwiatami, i siadał z powrotem, gdy znowu ją widział, jak zawsze podekscytowaną i zgodnie ze swoim zwyczajem przemawiającą do powietrza. Dziewczynka weszła właśnie na plac zabaw, chwilę później wspinała się po schodkach plastikowej zjeżdżalni w formie rury. Kiedyś Lila czekała na córkę przy wylocie tunelu, a gdy ją podniosła, krzyknęła, czując wyładowanie elektryczne przy zetknięciu z ubraniem małej. Od tamtej pory nie dotykała jej, kiedy dziewczynka zjeżdżała w rurze, i Moira nauczyła się przymusowego lądowania na piasku.

Fabián zaczął przeglądać kronikę kryminalną.

— W teatrze Colón grają w tym roku *Turandota* — powiedziała Lila.

— W San Telmo zabito kobietę, która wróżyła z kart tarota — odparł Fabián.

Wyglądało na to, że pomimo wiedzy ezoterycznej kobiecie nie udało się ujść przeznaczeniu. Były mąż zadał jej kilkanaście ciosów młotkiem, kiedy siedziała przy stole, i zostawił ją martwą w takiej pozycji. „Z kartą wisielca dopiero co wyjętą z talii", dorzucił Fabián, który uwielbiał dodawać wymyślone dramatyczne szczegóły do czytanych informacji. Zabójcę

aresztowano parę godzin później w hoteliku przy ulicy Montevideo. Nie stawiał oporu. Młotek ze śladami zaschniętej krwi i włosami ofiary schował w szafce nocnej.

Była jeszcze jedna informacja — o trzydziestopięciolatce, która zniknęła trzy miesiące wcześniej. Fabián pamiętał tamten przypadek, śledził go z wielkim zainteresowaniem. Po wyjściu z pracy kobieta wsiadła w centrum Buenos Aires do autobusu jadącego do La Platy, gdzie mieszkała. Nigdy tam nie dotarła. Mąż zgłosił jej zaginięcie trzy godziny później. Nikt nie widział, żeby wysiadała gdziekolwiek po drodze, ale nikt też nie zauważył, by opuściła autobus na swoim przystanku. Tajemnica. Fabián uznał, że jeśli wkrótce nie wydarzy się nic nowego, gazety przestaną się nią interesować. Wyobraził sobie męża tej kobiety rok po jej zniknięciu. Może do tego czasu przezwycięży ból i bezsilność, będzie popijał kawę w pobliskim barze i ulegając absurdalnemu pragnieniu, zacznie spoglądać przez okno w noc, z nadzieją, że kiedyś znowu ją zobaczy.

Oderwał wzrok od rubryki kryminalnej i wyobraził sobie teraz mężczyznę, dla którego pozbycie się żony było darem niebios. Życie z nią stało się nieznośne, a tu nieoczekiwanie pomógł mu przypadek. W wyobraźni Fabiana facet siedzi sobie w barze i dochodzi do wniosku, że od kilku miesięcy nosi maskę cierpienia, którego wcale nie odczuwa. W rzeczywistości bez żony jest mu lepiej. Na początku było źle, to jasne, lecz wreszcie powinien postanowić, ile czasu będzie jeszcze udawał, jak długo ma trwać żałoba po zaginionej żonie, zanim popuści sobie cugli, zacznie cieszyć się życiem i spełniać swoje fantazje.

Fabián rozsiadł się wygodniej na ławce i otworzył stronę z horoskopem. Przeczytał swój, a także Lili i Moiry. Dla córki: *Idealny czas, by zmienić coś w swoim życiu*. Dla Lili: *Możliwe napięcia w relacjach z partnerem, ale tylko przejściowe*. Dla niego: *Rok słoneczny, pełen wydarzeń*. Napisał to na pewno

sprzątacz, który redagował dział astrologii.

Fabián zamknął gazetę, podniósł wzrok i przyjrzał się żonie. Zawsze kiedy patrzył, jak czyta, przypominał sobie, że taką zobaczył ją po raz pierwszy. Czekał na egzamin w korytarzu prowadzącym do głównej części wydziału architektury. Tak naprawdę to już prawie postanowił, że do niego nie przystąpi. Przesunęli go z listy zdających w pierwszym terminie, jednak wcale nie był pewien, czy jest teraz lepiej przygotowany. Nagle ją zobaczył, siedziała na stołku, oparta łokciami o drewnianą poręcz, i coś czytała. Poczuł miłe, niemal napawające lękiem ukłucie.

Chociaż siedziała, widać było, że jest wysoka (metr siedemdziesiąt dwa, jak się później dowiedział). Powoli przewracała kartki książki, bawiąc się od czasu do czasu zwisającym z ucha kolczykiem w kształcie niebieskiej łezki. Miała bardzo jasną cerę i włosy koloru błyszczącego czarnego agatu, które Fabianowi nasuwały groteskowe skojarzenie z połyskującym zadem karego konia.

Podniosła wzrok i zatrzymała na nim spojrzenie.

Nie pamiętał dokładnie, co działo się dalej, jakie było jego pierwsze słowo czy pierwszy gest, po którym do niej podszedł. Pamiętał za to, że rozmawiał z nią o czekającym go egzaminie, czepiając się pretekstów, byle tylko słyszeć jej głos i patrzeć, jak porusza ustami. Pośmiali się trochę, wszedł na egzamin, dobrze wypadł, a gdy skończył, wciąż tam siedziała. Kiedy czekał na autobus sto sześćdziesiąt, miał już numer jej telefonu.

Wszystko potoczyło się niezwykle szybko. Już dwa tygodnie później planowali przeprowadzkę do dwupokojowego mieszkania z rozsądną opłatą za wynajem.

Minęło siedem lat. Fabián otrząsnął się ze wspomnień i znów skoncentrował uwagę na kobiecie czytającej gazetę po drugiej stronie stołu.

— Niedawno otworzyli restaurację ormiańską — odezwał się, próbując wprowadzić do rozmowy temat daleki od

małżeńskiej rutyny, w której byli zanurzeni po uszy.

Lila odłożyła gazetę i popatrzyła na Moirę, a potem dalej, za park i za ulicę Delgada, gdzie nad domami widać było błękitne niebo. Może sięgnęła wzrokiem jeszcze dalej, lecz Fabián nie potrafił odgadnąć, co zobaczyła.

— Jakie jest ormiańskie jedzenie? — zapytała.

— Chyba takie samo jak arabskie, tylko inaczej się nazywa. Nie wiem. Sprawdźmy to. Zostawmy jutro Moirę z Cecilią i wybierzmy się tam na kolację.

— Zgoda.

— Masz ochotę czy nie?

— W takim lokalu może być drogo.

— Tym się nie martw.

Lila uniosła lekko kąciki ust i potarła ręką oczy.

— Ta kolacja jest po to, żeby porozmawiać o nas, tak?

— Kolacja jest w zasadzie po to, żeby coś zjeść. Ale skoro już o tym wspominasz, moglibyśmy porozmawiać o niektórych sprawach.

— Na przykład?

Na przykład o tym, że nie robimy tego od trzech miesięcy, pomyślał Fabián, mnąc powoli strony gazety, którą trzymał w dłoniach.

— Nie wiem. O nas.

— Byliśmy już parę razy na kolacji, ale w końcu o niczym nie rozmawialiśmy — powiedziała Lila niemal z odrazą. Fabián poczuł się nieswojo.

— Teraz jednak powinniśmy porozmawiać.

— Zabrzmiało to dramatycznie, czy tylko tak mi się wydaje?

Fabián przyglądał się jej przez kilka sekund.

— Zapomnij o tym pomyśle, lepiej zostańmy w domu.

— Teraz się obrazisz i nie będzie odwrotu. Wiem.

— Niewiarygodne. Niedziela rano, zamieniliśmy trzy zdania i już doprowadzasz mnie do szału.

Lila nie odpowiedziała. Na ogół nie wdawała się w takie dyskusje. Zmarszczyła brwi.

— Gdzie jest Moira?

Fabián spojrzał na plac zabaw, ale jej tam nie zobaczył. Jakieś dziecko w koszulce piłkarskiej reprezentacji Argentyny bujało się na huśtawce, kobieta w fioletowych legginsach musiała być jego matką. Kilka metrów dalej dziewczyna w dżinsach i czarnej bluzce powstrzymywała dobermana, żeby nie kładł się na piasku.

Na plastikowej zjeżdżalni też jej nie było. Fabián odwrócił się w stronę rosnących rzędem niskich drzewek, które wyznaczały granicę placu zabaw. Trawnik przy ulicy był pusty. Na ulicę by nie wyszła, bo już wie, że to niebezpieczne. Na pewno spacerowała po jednej z wysypanych tłuczoną cegłą ścieżek. Wyszedł na róg i popatrzył w kierunku popiersia osobistości, której imieniem nazwano park. Nikogo. Zaschło mu w gardle. Gdzie ona się podziała?

Zobaczył, że Lila szuka za pergolą.

Wrócił na plac zabaw. Kobieta w legginsach spojrzała w jego stronę. Nastolatki z dobermanem już nie było.

— Nie widziała pani dziewczynki, która się tu bawiła? W zielonej koszulce i krótkich spodenkach?

Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy z wyrazem niepokoju w oczach, co wydało mu się trochę teatralne. Podeszła do swojego syna. Chłopiec już się nie huśtał.

Fabián wrócił do pergoli. Gazeta, którą czytali, sfrunęła ze stołu z szachownicą, wiatr rozwiewał po parku jej poszczególne działy. Lila wyszła zza krzaka i popatrzyła na niego zmieniona na twarzy.

— Nie znalazłam jej...

— Moira, do kurwy... — mruknął Fabián, rozglądając się za córką. Teraz uczucie pustki przeniosło się w okolice jąder. Przez pierwszy rok życia Moiry cierpiał na obsesyjne lęki charakterystyczne dla początkujących rodziców. Stłuczenia,

upadki, porwania, zadławienia, nagłe zgony... W drugim roku to wszystko osłabło i Fabián czuł się dumny ze swojego ojcowskiego opanowania. Obawy osiadły gdzieś w bocznym zakamarku mózgu i już go nie dręczyły. Teraz jednak atawistyczny lęk wybuchł z całą siłą.

Fabián nie słyszał już krzyków Lili, biegł, próbując odgadnąć, co też mogło się stać.

W parku byli ludzie, w takich sytuacjach łatwo o pomyłkę. Nieraz zdarzyło się, że Moira stała kilka metrów od niego, a on jej nie widział. Próbował odzyskać spokój, powstrzymać myśli, które zaczynały stawać dęba.

Podążał ceglaną ścieżką w stronę wyschniętej fontanny. Jeśli Moiry tam nie znajdzie, następnym krokiem będzie rozmowa z policjantem, którego widział wcześniej na rogu Alvareza Thomasa i Zabali.

Wtedy zobaczył córkę, odwróconą tyłem, przy brzegu fontanny. Natychmiast się odprężył, a nawet lekko zawstydził z powodu swojej reakcji.

Podbiegł do niej i ponownie poczuł w środku intensywny, krótki, zdradziecki ból, gdy wyobraził sobie, że chwyta ją za ramię, odwraca ku sobie, a to inna dziewczynka. Typowa scena z dreszczowca.

Ale to była Moira. Krzyczał na nią, potrząsając jej rączką. Po chwili pojawiła się Lila i z westchnieniem ulgi podniosła dziewczynkę.

— Kochanie... Dlaczego nam nie powiedziałaś, że tu idziesz? Przestraszyłaś nas! — powiedziała, przytulając córeczkę.

Fabián zmusił dziewczynkę, żeby spojrzała mu w oczy.

— Nie rób tego więcej! Słyszysz mnie, Moiro?

To samo spojrzenie jak u matki, kiedy nie odpowiadała. Fabián nalegał.

— Słyszysz mnie, Moiro?

— Przyszłam z człowiekiem — oświadczyła.

— Jakim człowiekiem? — zapytał Fabián.

— Człowiekiem z ogrodu.

— Usłyszała coś w telewizji — wtrąciła Lila. — Jest przestraszona, bo na nią nakrzyczałeś.

— Co, teraz to moja wina?

— Lepiej chodźmy do domu.

Fabián zbliżył się do córki.

— Przyprowadził cię tu jakiś człowiek? Powiedz prawdę.

— Nie wolno nic mówić, bo on jest z ogrodu.

— Mogłabyś mi normalnie odpowiedzieć? Masz już cztery lata.

Moira spojrzała na niego i objęła go za szyję. Lila pozwoliła, żeby dziewczynka przeszła na ręce do ojca.

Potem Fabián będzie wielokrotnie wspominał tę scenę, rozmyślając o wszystkich znakach, których nie umiał dostrzec.

Ale kto potrafi przewidzieć coś takiego? Niemal zawsze znaczenie znaków staje się dla nas jasne, gdy jest już za późno.